

**Liceum Ogólnokształcące
im. Komisji Edukacji Narodowej
w Gogolinie**

**70 LAT
1948 – 2018**

Materiały jubileuszowe

Gogolin 2018

Tadeusz Rollauer

O POKOLENIU NIEZUPEŁNIE STRACONYM

Pierwsi absolwenci
Liceum Ogólnokształcącego w Gogolinie
Roczniki maturalne 1952-1954

*Dla upamiętnienia
uczniów i absolwentów
którzy talentem
wiedzą i pracą
służyli Ojczyznom
małym i dużym*

Legnica - Gogolin 2018

Radą i pomocą służyli:

Małgorzata Narkiewicz, Alfred Matuszek,

Aleksandra Jasińska



22314 Śm

Współwydawca:

Towarzystwo Miłośników Legnicy

Pro Legnica

© Copyright

by Tadeusz Rollauer

ISBN 978-83-949158-2-7

Opracowanie graficzne, skład i łamanie Beata Gwizdała

Druk: Drukarnia GREZOF 2015

59-220 Legnica, ul. Gen. W. Andersa 23A

tel. 696 022 949

grezof@drukigrezof.pl www.drukigrezof.pl

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 302 8.26.51 /201/.....

O POKOLENIU NIEZUPEŁNIE STRACONYM

Wstęp

Do napisania tego tekstu namówili mnie rówieśnicy, koleżanki i koledzy, absolwenci, maturzyści z roku 1954. „Napisz coś o nas, o naszym śladzie pozostawionym w tych murach, odnotowanym jedynie w wykazach absolwentów w publikowanych dotąd materiałach jubileuszowych. Odeszli na wieczną wachtę nasi przewodnicy-nauczyciele, koledzy z ławki... Jest to po trosze i nasza wina, bo zabiegani, nie zdobyliśmy się - jak inne klasy - nawet na okolicznościowe tableau i nie przywiązywaliśmy wagi do kontynuowania znajomości”.

W tej sytuacji do odświeżania pamięci nie musiano mnie specjalnie namawiać. Z zamiarem nosilem się od dawna, zwłaszcza po uczestnictwie w jubileuszu 50-lecia naszego liceum. Różne okoliczności, również rodzinne, sprawiały, że odkładałem to w czasie i dopiero teraz dawne zobowiązanie staram się spełniać. Jedną z przyczyn zwłoki była świadomość wybiórczości takiego tekstu, gdy się już dawno... dawno, a mija już ponad 60 lat!, jak się ze swoją budą miało się jedynie sporadyczny kontakt. „Ruszyłem w świat” i nie wróciłem, choć przez całe życie pozostałem patriotą lokalnym, postawy wyniesionej m. in. z tej szkoły, a której wyrazem były ongiś moje publikowane zainteresowania śląskim folklorem, pieśnią ludową, oraz prowadzone prace wydawnicze. Tu dodam, że jedną z pierwszych książek w moim zbiorze silesianów była otrzymana w gogolińskiej szkole nagroda - *Historia Śląska w zarysie* Kazimierza Piwarskiego wydana tylko raz, w r. 1947 przez Instytut Śląski w Katowicach. Złożyły się na nią prawdopodobnie również zapisy wykładów, zajęć, które Profesor prowadził w czasie okupacji na tajnym Uniwersytecie Ziemi Zachodnich.

Z góry przepraszam za niedopowiedzenia, za braki, które w tym wypadku, w tego typu pół wspomnieniowym materiale są zrozumiałe i że w prezentowanej refleksji skupię się przede wszystkim na swojej klasie, na naszej „trzynastce”. Wyrażam też nadzieję, że zawarte w końcowej części propozycje zostaną wzięte pod uwagę zarówno przez uczestników jubileuszowych spotkań, jak i grono pedagogiczne. Era internetowa stwarza ku temu dodatkowe, nie spotykane wcześniej, możliwości.

O Gogolinie, Karolinie i... szkole

Jadąc pociągiem pierwszy raz do Gogolina właściwie nic o nim nie wiedziałem. Poza piosenką – jak się później okazało – jedną z kilku zachowanych jej wersji. Chciałem „podążyć” jej tropem, ale prawdy o zawartych w niej realiach - choć zazwyczaj wynikały one z potrzeby zachowania rytmu i rymu - nigdy nie poznamy. Skąd bohaterka do Gogolina podążała? Gdzie stał ów most? Czy pod zakupionym przez nią folwarkiem z kamienicami, nie kryło się większe, zwykłe gospodarstwo rolne z budynkiem mieszkalnym ze ścianą frontową wychodzącą na ulicę i wysokim, kryjącym przed wścibskimi, ogrodzeniem. Takie zresztą do dziś w wielu nie tylko opolskich wsiach przetrwały. W Gogolinie też. A może ów most to przejście dla pieszych nad torami, na peron do pociągu w stronę Otmętu? To z kolei sugerowałoby, że ta wersja *Karolinki* mogła powstać na przełomie XIX i XX wieku, na pewno po r. 1896, po oddaniu do użytku linii kolejowej do Prudnika?

Gogolin Anno Domini 1949 nie zrobił na mnie pozytywnego wrażenia, a podążanie tropem pieśniczki spelzło na niczym. A jak wyglądała ówczesna siedziba gminy? Na prawdę nie ciekawie, bo od końca lat 30. właściwie nic się chyba nie zmieniło. Ot taka sobie przedłużona ulicówka, prowadząca z jednej strony do Odry i Krapkowic, a z drugiej w swojej głównej części do Kamienia Śląskiego i Strzelca Opolskich. I właśnie ten stary historyczny trakt przecięto oddaną do użytku w r. 1856 linią kolejową do Opola i na Górny Śląsk, co w sposób zasadniczy zmieniło pejzaż okolicy. Na ubogiej rolniczej ziemi dało szansę rozwoju dotąd nie spotykanego. Przy niej powstały z czasem, płonęły i gasły, piece do wypalania wapna, mała parowozownia, bocznicza dla pociągów towarowych wywożących skarby tej ziemi - wapno oraz kamień do budowy wydobywany w całym rejonie. Natomiast przy dworcu kolejowym z czerwonej cegły - jak wszystkie budynki użyteczności publicznej (koszary, sądy, więzienia, szpitale, szkoły...) za czasów Bismarcka - po r. 1945 powstało mini centrum komunikacyjne, obsługiwane przez autobusy PKS (Państwowej Komunikacji Samochodowej) ułatwiające mieszkańcom kontakt z powiatem, miastem Krapkowice, a uczniom dojazdu do uruchomionego w Gogolinie, w r. 1948, liceum. W samej siedzibie gminy, większej wsi, żadnych atrakcji dla młodzieży wtedy nie było – oddalone boisko do piłki nożnej, małe kino w sali po dawnej restauracji (chyba jakimś *Gasthausie*), mizerna oferta handlowa w kilku sklepach GS (Gminnej Samopomocy Chłopskiej), biblioteka... nie wspominając o neo-gotyckim kościele (też z czerwonej klinkierówki) konsekrowanym w r. 1896, gdzie odbywały się wycofane ze szkoły lekcje religii i działał przykościelny chór.

Fatalne usytuowanie zakładów wapienniczych w samym środku miejscowości sprawiło, że cały teren pokrywała szaro-siną powłoka, dopóki nie pokonał jej, nie zmył częściowo, długotrwały deszcz. Wtedy, po wojnie, gdy kraj wstawał z ruin, liczyła się jak największa produkcja. Wapienne młyny miały, a ludzie tym oddychali. Przyroda też nie potrafiła się bronić. Wszystko to razem wzięte przytłaczało, gdy do tego jeszcze czas „regulowały” rozkłady jazdy pociągów i autobusów oraz codzienne, o stałej porze, wybuchy dynamitu

z najbliższego kamieniołomu. Temu rytmowi musieli się podporządkować nie tylko uczniowie dojeżdżający spoza samego Gogolina, nie mogący z tego powodu brać udziału np. w zajęciach pozalekcyjnych, ale również pracująca na dwie zmiany kobieca załoga fabryki obuwia w Otmęcie, dawniej część słynnego koncernu Bata, produkującego również na potrzeby wojska.

Nikt wtedy nikogo nie dowoził specjalnymi autobusami ani do szkoły, ani do pracy. A warunki czasem bywały wręcz spartańskie. Dziś nie do przyjęcia, jak np. jazda w prowizorycznej przyczepie wykonanej z części wycofanego z eksploatacji autobusu, albo w doczepionym do osobowego składu pociągu wagonie towarowym, tzw. bydłęcym, z drewnianymi ławami wokół ścian, atrakcją wśród uczniów, cieszącą się niezwykle wzięciem. Pojawiło się nawet w slangu kolejarskim nowe słowo – towos czyli wagon towarowo-osobowy! Jadący w takim komforcie uczniowie czuli się za siebie i kolegów odpowiedzialni, a rodzice byli o tym naprawdę przekonani.

Współczesny Gogolin z uzyskanymi w r. 1967 prawami miejskimi, o czym musiała także zadecydować kulturotwórcza funkcja oraz docenienie dorobku obchodzącego obecnie swoje 70-lecie liceum, zasługuje także na szczególną pochwałę. Po wybudowaniu w latach 70. nowoczesnych zakładów w Górażdżach, po likwidacji wapienników w centrum to już zupełnie inny świat, nieporównywalny i to pod każdym względem. Zadecydowało o tym wiele czynników. Nie miejsce i czas po temu, by je rozwijać poza jednym godnym podkreślenia – zaangażowania mieszkańców w upiększenie swojego miejsca na ziemi, w rozwijanie różnych form dobrze rozumianego patriotyzmu lokalnego, pielęgnowanie autentycznych, bliskich ludziom tradycji.

„Chata z kraja”

Szkola! Dotarcie do niej z dworca pieszo zajmowało, tak jak dziś, 15-20 minut, a jej piętrowy budynek z wysokim dachem, z daleka widocznym, dominował samotnie nad okolicą. W pobliżu nie było zwartej zabudowy, jedynie po jednej stronie ulicy kilka małych jednorodzinnych domków. Wokół cisza, nieopodal niewielki sosnowy młodnik, a za nim wytyczony piaszczysty szlak, nasyp niedokończonej autostrady, miejsca uczniowskich wyskoków np. na papieroska czy na wagary. Bardzo przyjemnie leżało się na tej nietypowej plaży w słoneczny, beztroski dzień.

Sam budynek szkoły, w małej wsi, przerastający jej potrzeby „wielki gmach”, wzniesiony w r. 1936 swoim samym wyglądem budził początkowo, niesprecyzowane do końca uczucia – obawę, zagubienie, grozę, chłód?.. Z czego to wynikało, zdałem sobie dopiero po latach sprawę. Dopiero wtedy bryłę budynku skojarzyłem z takimi samymi typowymi obiektami koszarowymi wznoszonymi przed r. 1939 przez Niemców również na Śląsku. To prawda, że w czasie, gdy budowano nową szkołę, stara, położona we wsi na przeciw kościoła, pękała w szwach, ale czym się kierowano wznosząc aż taki duży gmach i nieco wcześniej,

w r. 1930, drugi budynek demonstrujący siłę władzy reprezentacyjną siedzibę gminy mieszczącą, także po r. 1945, posterunek, zupełnie niekochanej, MO (Milicji Obywatelskiej)?

Sprawa okaże się jasna, gdy uzmysłowimy sobie, że taką potrzebę mogły motywować także względy militarne – możliwość łatwego przystosowania obiektu choćby na koszary dla małej jednostki pilotującej autostradę czy mini szpital. Na szczęście ani przed, ani po wojnie nie było takiej potrzeby. Wręcz przeciwnie w latach 70. dobudowano na tych samych fundamentach jeszcze jedno piętro, bo wymagało tego życie i co częściowo zatarło - na szczęście - dawne szare tynki. Dodajmy, że takich dylematów nie budziła np. wybudowana w tym samym czasie szkoła na osiedlu robotniczym w rozwijających się wtedy Zdieszowicach – typowa, z normalnym dachem, a nie tak jak tu wysokim z możliwością zagospodarowania powstałego dużego strychu na potrzeby magazynowe, nie wspominając o innych „wojennych” zaletach budynku łącznie z „niezbędnymi” na podwórzu latrynami oraz placem apelowym!

Na pewno decyzje państwowe o budowie takiego, a nie innego obiektu, nie mogły być przypadkowymi. Umiejętnie je na tym terenie propagandowo wygrywano, tak jak budowę mauzoleum, pomnika powstańców śląskich walczących po stronie niemieckiej i potężnego amfiteatru u stóp Chełmskiej Góry. Bywały też i inne, także „niepozorne” przejawy troski o mieszkańców jak np. zbudowanie w Zdieszowicach tunelu kolejowego z przejściami na perony, jedyne w ciągu małych stacji od Gliwic do Opola. Na dawnym gorącym po plebiscytowym terenie zrobiono to na pewno nie z myślą o pielgrzymkach „na świętą Annę”, co o uczestnikach masowych imprez, różnych politycznych pikników w imponującym na wzór rzymski amfiteatrze, jedynym - poza nielicznymi dużymi stadionami - efektownym miejscem dla demonstracji siły. Tym tropem podążyły żwawo władze PRL organizując przy różnych mniej lub bardziej ważnych okazjach w amfiteatrze występy tak ulubionych przez społeczeństwo zespołów jak powstałe w r. 1948 „Mazowsze”, czy nieco później, w r. 1953 r., konkurujący z nim „Śląsk”. Oba w latach 50. spotkały się z gorącym przyjęciem publiczności w wypełnionym po brzegi amfiteatrze.

A takich propagandowych przejawów aktywności władz w historii tych ziem było więcej, jak np. dosłowne wchodzenie z butami w rodzinne tradycje i przymusowe, administracyjne, zmienianie w dokumentach pisowni nazwisk, by zatrzeć ich pochodzenie. Przed wojną na Śląsku była to zamiana np. Lipa na Lippa, a po wojnie na odwrót, podobnie jak brzmienie nazwiska niżej podpisanego przez jedno a nie dwa el zupełnie zacierające jego austro-węgierskie, lwowskie, wpisane także w historię mego rodzinnego miasta, pochodzenie. Nie wspominając o takich dziwactwach jak zamiana np. Apfelbaum na Jabłoński! Na szczęście po kolejnych, ostatnich temu podobnym zabiegach nie dotyczy to już samej „uniwersalnej” nazwy Gogolin.

Wspominam o tym na marginesie, by uświadomić współczesnym, w jakiej atmosferze startowała nowa, gogolińska szkoła obejmująca zgodnie z obowiązującą wówczas rejo-

nizacją uczniów teren w promieniu 20-25 kilometrów od Gogolina z powiatów strzeleckiego oraz krapkowickiego. Jedyne liceum ogólnokształcące mające siedzibę nie w mieście powiatowym, jak najbliższe w Koźlu czy w Strzelcach Opolskich, lecz w małej wsi – wyjątek wówczas na skalę krajową!

Czym kierowały się ówczesne władze oświatowe podejmując taką decyzję, ryzykując tworzenie od podstaw tego typu placówki w zupełnie dziewiczym terenie? Z pewnością nie chodziło tylko o nie w pełni zagospodarowany budynek. Można w nim przecież było z powodzeniem uruchomić bardziej wyczekiwane przez okoliczną ludność technikum czy zespół szkół zawodowych? Dziś gdy gogoliński ogólniak dumnie obchodzi swoje 70-lecie doceniamy, jak bardzo decyzja ta była śmiałą i dalekowzroczną, jak dobrze, że zaufano pedagogom, którzy podjęli się wdrożenia jej w życie. A przecież różnego typu oporów, barier, jak zwykle, nie brakowało. Jedną z bodaj najistotniejszych stała się naturalna rezerwa, z jaką lokalne, zwarte środowisko, nie rozbite jak w innych miejscowościach po wojnie, bez dużego napływu przymusowych „repatriantów” z Kresów, uzna ją za przydatną. Ślężacy, ludzie ciężkiego trudu, w pierwszym rzędzie stawiali na obranie i opanowanie przez swoje dzieci konkretnego zawodu, konkretnego fachu. Uruchomiony ogólniak nie wychodził tym potrzebom na przeciw. Przygotowywał jedynie do startu na położone hen, hen...wyższe uczelnie, a to z kolei wymagało, mimo wszystko, nakładów i wyrzeczeń całej rodziny. Ten profil kształcenia nie gwarantował właściwie nic. Z czasem to rozumowanie legło w gruzy! Gogoliński ogólniak przestano traktować jako obojętną wszem międzypowiatową chatę z kraja. Stał się powodem do nieukrywanej dumy, gdy obiegowe przed laty obiekcje uznano za walory.

Przewodnicy-nauczyciele. Pionierzy i debiutanci

Jak podaje opracowany przez absolwentkę gogolińskiego LO, nauczycielkę szkoły mgr Reginę Kalę-Szulc, zwięzły zarys *Z historii Liceum Ogólnokształcącego (w Gogolinie)* w pierwszych sześciu latach od uruchomienia szkoły miała miejsce duża rotacja kadry, zwłaszcza kierowniczej. Poza znanym w Gogolinie Romanem Jaszczukiem, od r. 1945 kierownikiem szkoły podstawowej, która obecnie weszła w skład LO, wszyscy kolejni powoływani na to stanowisko dyrektorzy, ludzie z zewnątrz, piastowali swoje funkcje krótko. Marian Laskowski (zajęty kłopotami rodzinnymi) i Stefan Żurek po dwa lata, a Igor Kozierowski tylko rok. Czym się kierowało Kuratorium Oświaty podejmując takie decyzje, a może warunkowały je tylko prozaiczne względy rodzinne lub osobiste?

Ja najbardziej ceniłem sobie kontakty z dyr. Żurkiem, który lubił rozmawiać z uczniami i poznawać nowe dla siebie środowisko. Co ciekawe, mając syna w naszym wieku, ten lewicujący działacz z Zagłębia Dąbrowskiego, bardziej się interesował problemami osobistymi zapraszanych niż mizerną, prawie niewidoczną, pracą koła ZMP (Związku Młodzieży Polskiej), od której uczniowie stronili, czy szkolnego samorządu. Bywało, że dawał

im dyskretnie pieniądze na obiad, co ukrywali przed kolegami i dopiero po latach o tym z sympatią wspominali.

Mimo kadrowych zawirowań „na górze”, nauka w szkole toczyła się normalnym rytmem, choć także braki kadrowe czasem też dawały o sobie znać. Generalnie jednak o poziomie nauczania, o kształtowaniu nawyków uczniów, dyscyplinie decydowała praca nauczycieli, którzy wiązali z nową placówką osobiste plany i ambicje życiowe, a także swoich dzieci. (wystarczy po latach prześledzić wykazy absolwentów, by się o tym przekonać). Oni sobie na każdym kroku udowadniali, że jest to ich posłannictwo, drażnienie skały, na tym terenie wapiennej, krok po kroku. Służba!

Do grona nauczycieli-pionierów należeli (przyjmuję układ alfabetyczny) pani prof. Justyna Augustynowicz, Helena Haraszczukowa, Józef Krukowski (na krótko), Maria Pyka z mężem Hieronimem, których od początku lat 50. zaczęło wspierać, startujące w zawodzie wykształcone już po wojnie nowe pokolenie, absolwenci uniwersytetów oraz wyższych szkół pedagogicznych: Teodor Krężel (od r. 1952), Maria Orkisz i Ludwik Dębicki (1953), Franciszek Marek (1954).

Przypomnijmy sobie te interesujące indywidualności w bardzo subiektywnym skrócie, jak zapisały się wybiórczo po latach w pamięci.

Pani zastępcza dyrektora ds. liceum prof. Justyna Augustynowicz nasza wychowawczyni w I klasie od razu zdobyła sobie sympatię nowicjuszy kreśląc wizję szkoły i wspólny cel, zadanie, by mogła szybko stać się konkurencyjną z innymi wcześniej po r. 1945 uruchomianymi tego typu liceami na Opolszczyźnie. Zapowiedziała potrzebę wspólnego działania na rzecz integracji społeczności uczniowskiej, a jedną z jej form powinny być także z udziałem uczniów starszych klas wycieczki po Polsce. I trzeba przyznać stosunkowo szybko tę potrzebę w ciągu roku szkolnego sfinalizowała. Pierwsza wycieczka do Ojcowa i Wieliczki, z której w kronice szkoły i albumach uczniowskich zachowało się jedno wspólne zdjęcie, zapisała się na trwałe w naszej pamięci.

Zupełnie inną, budzącą respekt osobowością była nasza rusycystka pani Helena Haraszczukowa – przedwojenna nauczycielka z prawdziwego powołania o bogatym doświadczeniu pedagogicznym. Podziwialiśmy Jej styl, obowiązkowość mimo starszego już wieku, a mieliśmy ku temu okazję spiesząc się codziennie do szkoły po wyjściu z pociągu. To wtedy widzieliśmy jak Babuszka wolnym krokiem podążyła o godzinie 7.20 w tym samym kierunku. Nie było Jej łatwo, choć tego nie okazywała, ubrana skromnie, bardzo starannie, zawsze w białej bluzce wyrażającej szacunek do ucznia i swojej służby. Nie byłoby w tym może nic nadzwyczajnego, gdyby tak postępowała osoba młodsza, nie schorowana. A tu z zaniepokojeniem i współczuciem patrzyliśmy na wysiłek ponad siedemdziesięcioletniej posiwiałej staruszki idącej wolno, krok za krokiem z mocno spuchniętymi, grubo obandażowanymi nogami – a ile musiała przed wyjściem z domu poświęcić na to energii i czasu? Widocznie z tym się nie liczyła... podobnie jak z mogącą ją spotkać ze strony

niektórych wychodzących przed szereg uczniów demonstracją delikatnie mówiąc, obojętności, wobec języka, którego piękność podkreślała i wydobywała. Miała też czasem powód do dumy, gdy uczeń z ostatniej klasy prosił o wypożyczenie książki, np. *Wojny i pokoju* czy *Anny Kareniny* Lwa Tolstoja, bo chciał ze słownikiem w ręku przeczytać je w oryginale. Ciekawe, jakby po latach reagowała na wieść, że dzięki Jej lekcjom absolwent gogolińskiego LO Alfred Pawelczyk na odległym pograniczu francusko-niemieckim uczył dzieci i młodzież języka niemieckiego w obozie dla emigrantów z dawnego ZSRR wykorzystując ongiś zdobyte podstawy, a także później pogłębianą znajomość z lekceważonego rosyjskiego. I to jest fakt. Pani Helena zmarła w wieku 85 lat i na ile mogła, by mieć nadal kontakt z młodzieżą pracowała w bibliotece szkolnej do końca swych dni.

Niezaprzeczalną sławę, mił szkoły, kształtowali od jej samego początku państwo Pykowie. Ona matematyczka, on łacinnik. Oboje przekonani o tym, że nauczane przez nich przedmioty są najważniejsze. I coś w tym na rzeczy było, bo potrafili konsekwentnie egzekwować swoje wymagania. A poprzeczkę stawiali naprawdę wysoko. Poza tym dochodziły inne względy, a wśród nich - co w okresie pogłębiających się napięć między Kościołem a państwem „brano pod uwagę” – stosunek do katolicyzmu. Oni swojej przynależności nie ukrywali, co cenili nie tylko miejscowi parafianie. Niektórzy to sobie z czasem bardziej uświadomili, gdy doszła do nich wieść, dlaczego Profesorostwo trafili z własnego wyboru do tworzonego liceum w Gogolinie. A można to w skrócie, na podstawie dawnych ustnych relacji opisać tak. Po wojnie małżeństwo z dziećmi przybyło w rodzinne strony Profesora do powiatu strzeleckiego. Chłubił się tym, że jest synem tej ziemi z pobliskiej jeszcze pocysterskiej Jemielnicy. Przed wojną wyruszył na studia, jak to czynili od dawien dawna światli Ślązacy, do Krakowa. Historię i tradycję tych wojaży do Jagiellonki na przestrzeni wieków odtworzył skrupulatnie wybitny polski historyk mediewista i archiwista, badacz dziejów uczelni prof. dr Henryk Barycz, a Hieronim Pyka z pewnością świadomie ją kontynuował wraz ze „stąpającą twardo po ziemi” towarzyszką życia, niepozorną lwowską matematyczką. Po zakończeniu wojny, jak wielu „ekspatriantów” „przyjechała” na Opolszczyznę w rodzinne strony męża! Z rozpoczętej pracy w strzeleckim LO zrezygnowali, po jego reorganizacji i przekazaniu szkoły lewicującemu TPD. Przejście do Gogolina uciszyło konflikt i okazało się korzystne dla obu stron.

Osobną rolę w pierwszym dziesięcioleciu funkcjonowania liceum odegrali poloniści., nauczyciele języka polskiego. Miało z nim kłopoty wielu miejscowych uczniów zwłaszcza z roczników 1933-35, które wcześniej uczęszczały do pierwszych klas niemieckiej szkoły podstawowej, a także jeszcze dobrze pamiętały wydarzenia poprzedzające zakończenie wojny jak absurdalny *exodus*, wycofywanie cywilnej ludności przed zbliżającym się frontem, paniczna ucieczka w nie znane, potem tragiczny powrót niemal spod Wiednia, o konsekwencjach wkroczenia Armii Czerwonej nie wspominając. Z tą traumą, głęboko w podświadomości zapisaną, trzeba się było zmierzać i uwagę kierować w strony, literackiego piękna.

Nasza klasa, roczniki 1935-37, miała szczęście „pobierania nauk” u trzech, a właściwie czterech indywidualności – u wspomnianej pani Augustynowiczowej, Józefa Krukowskiego, młodziutkiej Marii Orkisz i – sporadycznie, w ramach zastępstw – u Franciszka Marka, dobrze się zapowiadającego naukowca, a po latach prorektora Uniwersytetu Opolskiego (1994-1995), który w internetowej *Wikipedii* nie zasłużył na znalezienie się w gronie osób rozslawiających Gogolin.

Jeśli chodzi o polonistów to każda z wymienionych osób miała swój styl pracy. Pierwsza pani preferowała gramatykę i poprawność budowy zdań oraz wypowiedzi. Z kolei niezbyt dbający o siebie starszy pan Józef „styl akademicki”. Prowadził normalny, chwilami nużący, wykład, z historii literatury polskiej od średniowiecza poczynawszy podkreślając i każąc notować ważne momenty. Gdy brakowało podręczników, tak powstałe zapisy okazały się bardzo przydatne przy powtórkach przedmaturalnych.

Zupełnie inny nastrój zapanował w klasie po przyjeździe po ukończonych studiach w Krakowie pani Marii Orkisz. Pełna temperamentu, pomysłów góralka z Krościenka, traktująca uczniów maturalnej klasy jak rówieśników, jak starsza siostra, przełamująca dotychczasowe bariery to dla wielu był szok. Zaczęły się regularnie organizowane w szkole raz w miesiącu potańcówki, nauka tańca, ujawniały się skrywane sympatie... Chłopcy podkochiwali się w atrakcyjnej Marysi, a dziewczęta, w wysokim przystojnym panu Marku. Wszystko się zdało na nic, gdy para młodych polonistów zaczęła się mieć ku sobie. Później pobrali się, zapuścili na trwale korzenie w Gogolinie stając się chlubą szkoły i niepisanymi autorytetami już nie w miasteczku, co w całym regionie.

Gdybyśmy się zagłębili w życiorysy członków grona pedagogicznego gogolińskiego liceum, to takich młodych nauczycielskich małżeństw dopatrylibyśmy się z pewnością więcej, jak np. państwo Krężlowie, Dębiccy.... Wychodziła wtedy temu naprzeciw polityka państwa, a mianowicie obowiązek zapewnienia przez wiejskie gminy nowym nauczycielom mieszkania oraz ujednolicone w całym kraju zasady wynagradzania po ukończonych studiach. Wszyscy mieli takie same pobory: 1200 zł + 10 proc. za magisterium! Czy uczyłeś w podstawówce, czy jako asystent na uniwersytecie lub pracowałeś w akademii nauk. Wszystko to sprawiało, że wielu młodych i utalentowanych wybierało, jak się skończyły nakazy pracy, placówki wiejskie automatycznie podnosząc ich poziom. Odbывało się to niewątpliwie z korzyścią dla uczniów z małych aglomeracji, co historia LO w Gogolinie dobitnie potwierdza.

Nasza jednak szczęśliwa trzynastka!

Naukę rozpoczynaliśmy w klasie liczącej prawie 45 uczniów. Do matury przystąpiło i zdało ją w komplecie – 13! (Podobnie jak równie mało liczne dwa pierwsze roczniki: 1952 – 11; 1953 – 13).

Do tego grona należeli, potem rozproszeni po Polsce i na świecie, o których losach często nic nie wiemy: Małgorzata Bochynek, Dorota Hergesell, Antoni Ingo), Ginter Kolenda, Alfred

Matuszek, Helena Mazur, Alfred Pawelczyk, Alfred Prusko, Aleksandra Rogowska, Tadeusz Rollauer, Joachim Schmidt, Zofia Stepa i Jan Thomeczek.

A teraz miejsce na małą nieco socjologiczną analizę:

- *Z jakich terenów kraju pochodzili uczniowie maturzyści?* - z 13 uczestników ankiety spoza Gogolina i różnych części Polski pochodziły jedynie 4 osoby, w tym 1 repatriant, pozostałe 9 z Opolszczyzny.
- *Z jakich środowisk się wywodzili?* - rodzice 3 to rolnicy, w tym 1 utrzymujący rodzinę wyłącznie z pracy na roli; ojciec 1 był cenionym rzemieślnikiem prowadzącym samodzielnie warsztat stolarski; rodzice 3, przedstawiciele kadry urzędniczej, przybyli służbowo z innych części Polski; żywicieli pozostałych 6 rodzin byli robotnikami na różnych stanowiskach (na PKP, w wapiennikach, w koksowni...).
- *Ilu absolwentów postanowiło pójść na studia, pomyślnie zdało egzaminy za pierwszym podejściem i ukończyło uczelnie na wybranym kierunku* – 8! w tym wszystkie 4 osoby spoza Opolszczyzny. Odpadł 1 kolega (Janek Thomeczek) - co było niemal do przewidzenia - ubiegający się o miejsce na Wydziale Aktorskim PWST w Łodzi. Dodać należy, że w końcu po dwóch latach celu swego dopiął choć też skończył prawo i pracował jako sędzia.
- *Jakie kierunki studiów wybrali maturzyści?* – uniwersyteckie 3 osoby (matematyka, polonistyka i prawo – Małgosia Bochynek, Tadeusz Rollauer i Jan Thomeczek), kierunki na politechnikach – 2 (budownictwo i branża odzieżowa – Alfred Matuszek i Hela Mazur), medyczne – 2 (interna i stomatologia – Ola Rogowska i Zosia Stepa), wyższe seminarium duchowne – 1 (Ginter Kolenda, który w przedmaturalnej ankiecie, by nie budzić sensacji, deklarował, że się wybiera na astronomię!), wyższą szkołę oficerską – 1 (Antek Ingo).
- *Co zadecydowało, że pozostałe 4 osoby (Dorotka Hergesell, Alfred Pawelczyk, Alfred Prusko i Joachim Schmidt) nie podjęły studiów (przy czym 3 ukończyło je później w trybie zaocznym w Polsce i w Niemczech)* – bezsprzecznie względy materialne, jak np. konieczność podjęcia pracy zarobkowej dla wsparcia matek-wdów, które mężów straciły na wojnie, a teraz ciężko fizycznie pracowały na utrzymanie nawet trójki dzieci.
- *Ile osób z 13 powróciło do rodzinnych stron?* Niewiele. Z 9 „hanysów” - 5, a 3 (Kolenda, Pawelczyk i Schmidt) wyjechały do Niemiec; spośród 4 „goroli” - 1 (Ola Rogowska), pozostali ruszyli w Polskę (Małgosia Bochynek, Hela Mazur, Zosia Stepa i Tadeusz Rollauer).
- *Co przynosi porównanie przedstawionych danych z wynikami innych maturalnych roczników?* Są zbliżone. Rok 1952 – 11 absolwentów, studia ukończyło 7. Rok 1953

– odpowiednio 13 i 9. Reasumując widzimy, że szkoła dobrze przygotowywała młodzież do kontynuowania nauki i sprostania stawianym przez uczelnie wymaganiom, jak np. na budownictwie okrętowym, czy obsłudze aparatury jądrowej.

A naszymi nauczycielami poszczególnych przedmiotów, którzy szczególnie utkwili w pamięci, byli: język polski – Justyna Augustyniak, Józef Krukowski, Maria Orkisz, Franciszek Marek; język łaciński – Hieronim Pyka; język rosyjski – Helena Haraszczukowa; historia – Danuta Uryga; matematyka – Maria Pyka; biologia – Tadeusz Gruszka, Teodor Krężel; geografia – Albina Mreńczak, Janina Rydzewska; fizyka, chemia – Ludwik Dębicki; wychowanie fizyczne – Bolesław Iskrzycki, wychowanie muzyczne i chór – Marian Sojka.

Ku pamięci!

Z ostatniego roku pobytu w szkole pozostały w pamięci, poza egzaminem dojrzałości, dwie życiowe lekcje – pokory i szacunku dla zwyczajnej, codziennej pracy oraz o konieczności walki ze spotykanymi na każdym kroku przejawami hipokryzji, kółtuństwa. A stało się to za przyczyną dwóch nietypowych wydarzeń.

Pierwsze ukazywało absurdalność ówczesnej rzeczywistości i miało charakter „organizacyjny”. Któregoś jesiennego dnia ogólnie zarządzono, by uczniowie starszych klas trójkami, część w mundurkach ZMP, wzięli udział w akcji uświadamiania i przekonywania rolników, by zwiększali kontraktację trzody chlewnej. Efekty były mizerne, choć starcie z szarą rzeczywistością okazało się dla żółtodziobów pouczające. Wręcz przeciwne od założeń organizatorów. A rzecz w czasie rozmowy ze spracowanym starszym rolnikiem, z grupy średniaków, czyli po słońsku *pamponiem*, miała się tak. Cierpliwie nas wysłuchał i odpowiedział gwarą: „*Ja, ja dyć macie recht, ale przyćcie pierwej ku mnie, to was naucza gnuj ciepać*”. I tą nauczka wzięliśmy sobie na trwale do serca, że należy rozpoczynać od pracy... u podstaw!

A teraz o drugim już ważnym wydarzeniu, wpisanym w historię szkoły, ale i całej miejscowości. Niestety po latach zupełnie zapomnianym. Na początku roku w maturalnej klasie ktoś rzucił pomysł, byśmy się wspólnie, po egzaminach, wybrali na wycieczkę nad morze do Trójmiasta, w którym nikt z nas jeszcze nie był. Sprawa warta zachodu, ale jak zdobyć kasę? Z burzy mózgów wybraliśmy pomysł wystawienia sztuki teatralnej, przedstawienia, jakiego w Gogolinie nigdy nie było.

Spotkało się to z różnym przyjęciem, raczej z rezerwą, niedowierzaniem. Poparcie nadeszło ze strony zupełnie niespodziewanej, bo od naszej Babuszki, która zaproponowała zainteresowanie się *Moralnością pani Dulskiej* Gabrieli Zapolskiej, sztuki wziętej z życia. Prostej w odbiorze, o małej obsadzie aktorskiej, przystosowanej do warunków teatru objazdowego z jednym nie zmienianym wyposażeniem sceny... Słowem takiej sztuki, o jaką nam chodziło. I tak rozpoczęliśmy praktyczną lekcję teatralną oraz poznaliśmy naszą rusycystkę z zupełnie innej strony. Jako reżyser wywiązała się z zadania znakomicie, ale przedtem postawiła

warunki. W realizacji przedstawienia uczestniczą wszyscy, bo to jest nasze wspólne dzieło. Nie będący aktorami stanowią ekipę techniczną odpowiedzialną za przygotowanie, transport i ustawienie dekoracji, wyposażenia sceny. Wbrew pozorom nie były to zadania łatwe i angażujące także niektórych rodziców.

Do odegrania poszczególnych ról Pani reżyser dobrała osoby o zbliżonym portrecie psychologicznym. Nagle odkryliśmy, że nasi aktorzy nie musieli grać, oni takimi gdzieś tam w głębi duszy byli, takie mieli naturalne predyspozycje... I tak panią Dulską została korpulentna, lubiąca rządzić Iwona Gunderman z młodszej klasy, córkami, grającą, tu nie na fortepianie lecz pianinie, Melą – skromniutką Dorotka Hergesell, zaś żywiołową Hesią Olą Rogowska, ciotką Juliasiewiczową lubiącą się też stroić Zosia Stepówna, Lokatorką (druga zapożyczona z młodszej klasy) Lucyna Szarska, a palącą w piecu służącą Hanką – Małgosia Bochynek. Z obsadą męską też nie było problemów. Spacerującego wokół stołu Dulskiego zagrał Alfred Matuszek, a uwodziciela i maminsynka Zbyszka, Janek Thomeczek.

Bardzo trudne do wykonania zadania spadły na ekipę techniczną pod kierunkiem Alfreda Matuszka. Zaczęli od przygotowania przenośnych dekoracji w użyczonym przez jego ojca warsztacie stolarskim. Udostępniono chłopakom narzędzia, wsparto materiałami niezbędnymi do ustawienia trzech ścian pokoju, w którym rozgrywała się akcja. Bez tej fachowej pomocy naprawdę byłby kłopot, a wykonanie takiego plastycznego tła sceny, tła widowiska wręcz niemożliwe. *Moralność* nasza klasa wystawiała bodaj trzy czy cztery razy, także poza szkołą, np. w Gogolinie w sali kinowej na końcu wsi, Obrowcu, Kamieniu Śląskim. Wszędzie młodych aktorów witano z sympatią i zdziwieniem. Nie było mowy o żadnym zarobku, zaś sam transport rekwizytów, mebli, pianina *etc.*, a później szybkie przygotowanie na czas sceny stawalo się dla kilku osobowej ekipy technicznej zadaniem ponad jej skromne w końcu siły. Zresztą szybkimi krokami zbliżała się matura

Po teatralnej przygodzie pozostała w nas duma z osiągniętego celu, że tragikomedia o polskim kołtuństwie w czasach, gdy nie było telewizji, dotarła pod gogolińskie strzechy. Do Trójmiasta też kilku z nas pojechało, a smak i zapach świeżo uwędzonych szprotek jeszcze długo się śnił.

Tematów nie zabraknie

Z innych inicjatyw ze szkołą związanych, zrodzonych z potrzeby serca, na uwagę zasługuje pomysł absolwentów drugiego rocznika, z r. 1953. Doszli do wniosku, że potrzeba po latach odnowić dawne kontakty i przyjaźnie, a nie spotykać się tylko z okazji kolejnych jubileuszy. Czas ku temu najwyższy. Wielu z nas - argumentował pomysłodawca mieszkający na terenie b. NRD Karol Suchan – jest już na emeryturze, dysponuje wolnym czasem. Możemy spotykać się we własnym gronie razem ze swoimi małżonkami w różnych miejscach i przy okazji zwiedzać nie tylko Polskę, docierać do miejscowości, które kiedyś obiecywaliśmy sobie poznać. Najlepszą porą na organizację takich dwu-, trzydniowych wyjazdów krajoznawczo-wekendowych jest

jesień, czyli po sezonie, gdy bez trudu można z wyprzedzeniem zamówić rezerwację miejsc w pensjonatach, hotelach czy gospodarstwach turystycznych. Będzie więc okazja nie tylko do wspomnień, podzielenia się doświadczeniami życiowymi, sukcesami, radościami i porażkami. Na każdym z tych spotkań pamiętamy o tych, którzy są z różnych względów nieobecni, albo odeszli na wieczną służbę. W ich intencji oraz całej klasy uczestniczymy w specjalnie zamawianej – też z wyprzedzeniem – mszy św. w najbliższym kościele.

Gdy spotkanie miało miejsce w Gogolinie była okazja, by wstąpić do starej klasy, a także do oddania hołdu spoczywającym na cmentarzu zmarłym nauczycielom oraz naszym koleżankom i kolegom. A przybywa na nim z roku na rok coraz więcej mogił. Zniży też. Z nauczycieli pożegnaliśmy: Helenę Haraszczukową (1882-1967), Marię Orkisz-Marek (1928-1997), Marię Pyka (1903-1983), Hieronima Pykę (1906-1984), a ostatnio Teodora-Kręzla (1927-2018). Natomiast z naszej trzynastki stajemy z zadumą na grobie Alfreda Prusko (1936-2017) w Krapkowicach pamiętając jednocześnie o tych rozproszonych nie tylko w kraju: Janie Thomeczku (1937-1972), Antonim Ingo (1935-2004), Joachimie Schmidcie (1935-2015), Dorocie Hergesell (1936-2018). O kilku innych, niestety, wieść zaginęła.

Nie dziwi, że pomysł na taką formę spotkań padł na podatny grunt, a do pierwszego pod patronatem prof. Marii Orkisz-Markowej doszło 13 czerwca 1973 r. W sumie w ciągu 40 lat, tzn. do r. 2017, odbyło się takich spotkań czasem jedno-, a nawet trzydniowych ponad 30. Wszystkie skrupulatnie protokołowała i dokumentowała zmarła w r. 2017 śp. Joanna Kusch. Podkreślmy to jeszcze raz, że zanim ruszono w teren, niejednokrotnie korzystano z gościnności państwa Marków w ich domu przy ul. Krapkowickiej. Nigdy też nie odmawiali wsparcia, pomocy biorąc aktywny udział w spotkaniach, gdy miały miejsce w Gogolinie. Z kronikarskiego obowiązku odnotujmy, że pierwsze miało miejsce 2.06.1983 w 30. rocznicę matury rocznika 1953. Przewodniczącą gospodyni, ukochana przez wszystkich Marysia, zawsze otwarta na wieści o losach swoich wychowanków, podkreślała potrzebę poszerzania kręgu o osoby spoza Gogolina i okolicy. I tak to się w latach 70. w atmosferze życzliwości i przyjaźni zaczęło, a potem było kontynuowane. Zrozumiałe, że z głębokim bólem przyjęliśmy wiadomość o niespodziewanej śmierci śp. prof. Marii Orkisz-Markowej 12 stycznia 1997 r. To wtedy w czasie uroczystości pogrzebowej przemawiający w naszym imieniu Józef Lipa podkreślił, że Jej inicjatywa koleżeńskich spotkań pierwszych roczników byłych maturzystów będzie kontynuowana: „będziemy się nadal spotykali, aż jeden z nas zostanie!”.

A oto jak konkretnie przebiegały pomaturalne spotkania (opracowano na podstawie zachowanych dokumentacji Joanny Kusch)? Przytaczamy w skrócie wybrane programy, by ukazać ich różnorodność oraz specyfikę:

4-5.10.1997 (spotkanie 15)

4.10. - Gogolin (cmentarz u grobu M. Markowej, msza św.) – wyjazd do Czech, do Złatých Hor: hotel „Aurum”, zwiedzanie jaskini Na Pomezi, odpoczynek na ławce-pomniku J. von Eichendorffa.

5.10. - podziwiamy piękno gór w jesiennym szacie, bezskuteczne poszukiwanie w niedzielę otwartego katolickiego kościoła) – Jawornik (zwiedzanie zamku) – powrót do Polski.

28-29.09.2002 (20)

28.09. - Gogolin (cmentarz) – Nysa (Diecezjalny Dom Formacyjny, zwiedzanie miasta, – Katedry, kościoła św. Piotra i Pawła , udział we mszy św. odwiedzenie na cmentarzu jerozolimskim grobu J. von Eichendorffa) - wyjazd przez Glucholazy do Czech, nocleg w Jeseniku, pensjonat „Alenka”.

29.09. - zwiedzanie samochodami pogranicza, pobyt w miejscowościach Krásna Wyhlidka, Lipowe Lázně – powrót do Krapkowic i Gogolina.

23-24.08.2003 – (21)

23.08 - Gogolin (cmentarz, msza św., wizyta w szkole) – obchody jubileuszu 50-lecia matury rocznika 1953 (maturzystom dyr. LO Dorota Błaszczak wręczyła jubileuszowe świadectwa maturalne oraz specjalne tableau; a państwo Aleksandra i Witold Jasińscy otrzymali dyplom uznania za wierny współudział przez okres 20 lat w koleżeńskich spotkaniach) - „wycieczka” po miasteczku pt. Jak się zmienił Gogolin.

24.08. - Góra św. Anny (msza św., zwiedzanie okolicy i terenu Parku Krajobrazowego Góry św. Anny).

5-6.10.2005 (23)

5.10. - Gogolin (cmentarz) - Samborowice (wizyta u D. Hergesell, msza św.) - Krzanowice (obiad) – wyjazd autobusem na Morawy (zamek w Kravařu, zamek w Hradcu na Moravici, Opawa, kolacja w Oldřichovie) - Krzanowice (nocleg hotel „Perla”).

6.10. - Piotrowice Wielkie (msza w zabytkowym drewnianym kościele Św. Krzyża) - Krowiarki (u grobu kolegi ks. Leonarda Gaidy) - Racibórz (zwiedzanie miasta, muzeum, obiad, pożegnanie).

28-30.09.2007 (25)

28.09. – Gogolin (cmentarz, msza św.) - wyjazd do Szczawna Zdroju (po zakwaterowaniu spacer po parku, a wieczorem w hotelu obchody jubileuszu 25-lecia pierwszego spotkania rocznika 1953, dyplomy uznania dla K.H. Suchana oraz J. Kusch; medale św. Benedykta z Monte Cassino dla wszystkich oraz odznaki 25-lecia spotkań dla rocznika 1953). Grupa 2 – K. H. Suchan, J. Schmidt - przyjechała bezpośrednio z Niemiec (Bautzen - Bolesławiec – Szczawno).

29.09. - zwiedzanie zamku Książ, a po południu i wieczorem Szczawna.

30.09. - rano msza św. w kościele w Parku Szwedzkim, powrót do Gogolina z postojem i zwiedzaniem Krzeszowa. W Gogolinie krótka wizyta i pożegnanie w domu prof. F. Marka.

11-12.10.2008 (26)

11.10. - Gogolin (cmentarz, msza św., odwiedzenie szkoły udział w uroczystym apelu, obchodach jubileuszowych, okolicznościowe wystąpienie absolwenta pierwszego rocznika Jerzego Lipy i Tadeusza Rollauera, posilek) – Góra Św. Anny (kolacja, nocne rodaków rozmowy, nocleg w pensjonacie „Anna”).

12.10 - Góra Św. Anny (msza św.) - Krasiejów (zwiedzanie dinoparku) – Ozimek (obiad i pożegnanie).

Przedstawiony program spotkań pokazuje jak bardzo trafną była ta godna kontynuowania przez kolejne roczniki inicjatywa. Poza względami towarzyskimi pozwalała ona na poszerzanie wiedzy o regionie, upamiętnienia wybitnego niemieckiego poety doby romantyzmu Josepha von Eichendorffa rozkochanego w ziemi śląskiej (grupa dotarła m.in. do Lubowic k. Kietrza miejsca urodzenia poety; do Nysy, gdzie został pochowany, oraz do innych miejsc z nim i jego twórczością związanych), a także na pogłębianie przez wyznawców prawd wiary. Duża w tym też zasługa napotykanych na szlaku wędrowek księży, którzy nie kryjąc niejednokrotnie zaskoczenia, chętnie służyli modlitwą, radą i pomocą. Momentami się wydawało, że te kameralne, indywidualne chwile skupienia w różnych miejscach kultu wyrosły z dawnych doświadczeń akademickich, z organizowanych wspólnie z duszpastorzami środowiskowymi, popularnie nazywanych Wujkami, cichych, nie manifestowanych terenowych rekolekcji. Wszystko to miało miejsce na przełomie lat 50. i 60., gdy gogolińscy absolwenci kończyli studia.

A różnych, innych chwil godnych zapamiętania i wzruszenia też nie brakowało, jak choćby spełnienie inicjatywy kolegi śp. ks. Leonarda Gaidy, by spotkać się po 50 latach z zamieszkałą k. Kęt we wsi Porąbki 84-letnią staruszką, nauczycielką geografii z lat 40. w Gogolinie i wychowawczynią klasy Albiną Mreńczak. Szalenie się wzruszyła, że ją odnaleziono i pamiętano.

Organizatorom od początku zależało na kontaktach z osobami, które wyjechały za granicę, pamiętały o szkole, nie tylko ze swojej dawnej klasy, przy czym ofertę skierowano w pierwszym rzędzie do trzech pierwszych roczników maturalnych. Nasze spotkania, z upływem czasu, niestety, rzadsze i coraz mniej liczne, dostarczały niezapomnianych wrażeń oraz materiałów o życiowych dokonaniach ich uczestników, weryfikacji różnych faktów. Jest to doskonały materiał do czekającego na wspólne opracowanie, o co przy tej okazji apeluję, pod honorowym kierownictwem, jeśli wyrazi zgodę i przyjmie zaproszenie, szanownego prof. dr hab. Franciszka Marka, gogolinianina z wyboru, internetowego *Słownika biograficznego nauczycieli i uczniów Liceum Ogólnokształcącego w Gogolinie*. Hasel do opracowania według przyjętych zasad z pewnością nie zabraknie! Przykładem historia życia Huberta Koptonia, absolwenta z r. 1953, stanowiąca gotowy scenariusz do sensacyjnego filmu pt. *Puchalski z Żyrowej* (u stóp Góry Św. Anny, gdzie się urodził). A tej dramatycznej opowieści miałem okazję wysłuchać w czasie niezapomnianej nocnej Polaków rozmowy na spotkaniu w r. 2005 w hoteliku pod Raciborzem.

Przylecą z kluczem żurawi.

Jerzy Koptoń, bo historię jego życia chciałbym w pełnym znaków zapytania zarysie, na ile można, bez sprawdzenia wielu faktów przedstawić, ukończył Wydział Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Wrocławskiego w r. 1959. Po studiach dzięki zabiegom wielkiego przyrodnika prof. dr. Alfreda Jahna, rektora UWr w latach 1962-1968, został zatrudniony na stanowisku

najpierw asystenta, a od 7 kwietnia 1960 r. kierownika Muzeum Przyrodniczego w Cieplicach Zdroju, placówki podlegającej Muzeum Narodowemu we Wrocławiu. Lansując kandydaturę swego byłego studenta prof. Jahn chciał zapobiec prowadzonej w tym czasie degradacji muzeum i dalszemu rozproszeniu jego wspaniałych zbiorów. Jak wynika z publikacji obecnego dyrektora placówki dr Stanisława Firszt, Koptoń starał się blokować – na ile mógł, niestety bezskutecznie, ten proces, a także przeniesieniu zdekompletowanych zbiorów do mającego być wyremontowanego drewnianego Pawilonu Norweskiego w parku zdrojowym, koncepcji także lansowanej przez ówczesne lokalne władze. Wszystko to sprawiło, że placówka podupadła i nie było mowy o wykorzystaniu nadarzających się okazji do nawet bezpłatnego powiększenia zbiorów. Nad Koptoniem, osobą z zewnątrz, kłębiły się ciemne chmury, a władze korzystając z pretekstu zwolniły kierownika z hukiem we wrześniu 1963 roku. Miały na to wpływ, jak sam mówił po latach, nie tylko sprawy muzealne, co „kontakty” z oficerami WOP (Wojsk Ochrony Pogranicza). Koptoń w tym czasie w wolnych chwilach, wyposażony w bardzo dobry, wtedy trudno dostępny, służbowy sprzęt fotograficzny, wsiadał na rower i jechał w góry, by prowadzić i dokumentować badania ornitologiczne. Okazało się to dla niektórych „życziwych” podejrzane, zwłaszcza że miało miejsce o różnych porach dnia i nocy, a do tego na terenie przygranicznym.

W tym samym mniej więcej czasie żyrowianin nie widząc dla siebie miejsca w Polsce zaczął starania o wyjazd do rodziny do Niemiec, a gdy spotkał się z odmową, postanowił szukać sposobów nielegalnych. Gdzie i kiedy doszło do pierwszej ucieczki na Zachód nie zdążył mi powiedzieć. Podobnie jak kolejne po latach skończyła się niepowodzeniem i odsiadką kary w więzieniu o obostrzonym rygorze w Strzelcach Opolskich. Na szczęście wilk nie okazał się taki straszny. Najgorsze było przystosowanie się do warunków w celi, kto i o jakiej porze ma korzystać np. z przysłowiowej „umywalki”... A w ogóle to był zaskoczony reakcją starych więźniów AKowców (nie wiedział, że w latach 60. jeszcze tacy odsiadują wyroki!), którzy zorientowawszy się, za co odbywa karę, otoczyli go opieką w ramach tzw. resocjalizacji. W praktyce oznaczało to załatwienie ich kanałami pracy w bibliotece, przy rozwożeniu posiłków, naukę języków obcych, dostęp do książek... Cenił sobie bardzo to wsparcie. Było tak przy kolejnych odsiadkach, także trzeciej po brawurowej, choć też nieudanej, wyprawie przez Czechy do Austrii.

Rzecz o tyle interesująca, bo rozeszła się echem po całej okolicy, nie tylko w Zdieszowicach, weszła do lokalnej legendy. Tym razem Koptoń z dwoma młodszymi kolegami pracującymi w koksowni postanowił uciec w specjalnie zbudowanej skrytce, umieszczonej w dużym otwartym wagonie towarowym, węglarce załadowanej koksem. Przygotowania do wyprawy trójki w takiej „jak dla kosmonautów kapsule” zajęły kilka miesięcy. Dokładnie wszystko przewidzieli i przećwiczyli. Wszystkie ewentualne warianty z przebiegami towarowych pociągów do Wiednia niemal bez postojów. Okazało się, że niezupełnie. Gdy rozpoczynali „podróż” pełni euforii, byli zachwyceni, że się odbywa wszystko zgodnie z planem. I moment kompletowania składu pociągu, odstawienie

konkretnego wagonu na bocznice i szereg innych szczegółów... Gdy ruszył pociąg, byli pewni sukcesu. Niespodzianka spotkała ich dopiero na granicy z Austrią, gdy po stronie czeskiej wagon odłączono i spokojnie czekali prawie dwie doby, aż sami zdecydowali się na wyjście. Nigdy się też potem nie dowiedzieli, kto przygotowania ich śledził i kto ze współuczestniczących w realizacji planu ze strony koksowni, kolei i *etc.* doniósł odpowiednim służbom.

Po przemianach ustrojowych Jerzy Koptoń dotarł nareszcie do rodziny i jeszcze zdołał opiekować się przez rok chorą matką, zanim odeszła do Pana. Potem nadrabiał utracony czas poświęcając się przede wszystkim pasji fotografowania przyrody i ptaków podążając krokami podziwianego mistrza Włodzimierza Puchalskiego. Swoim wysłużonym, dostosowanym do zatrzymywania się w każdym miejscu bussem, jeździł nie tylko do Polski jako organizator wypraw ornitologicznych z podobnymi jak on pasjonatami. W różne miejsca. Na najbliższy położony Dolny Śląsk i do Biebrzańskiego Parku Narodowego... Angażował się jednocześnie w działalność różnych stowarzyszeń ekologicznych. „Udało mu się także fotografować nieznany przedtem świat przyrody, gdy pracował jako fotograf obsługujący popularne w Niemczech wycieczki statkami pasażerskimi po morzach do Arktyki i na południe Europy. W ten sposób zwiedził kawał świata, a z najnowszym plonem takich plenerów z rejonu polskiej polarnej stacji badawczej na Spitsbergenie zapoznał kolegów w czasie nie zapomnianego wieczoru w r. 2005. Wtedy też chętnie dał się namówić do spotkania z uczniami gogolińskiego liceum i zorganizowania wystawy fotograficznej swoich prac. Po jej zakończeniu pozostawił ją na potrzeby pracowni biologicznej szkoły. Pomysł ten zrealizował w roku 2008. Niestety, mimo obietnic, straciliśmy – choć nie mogłem się z tym pogodzić - kontakt po dwóch bodajże kolejnych latach.

Widocznie kontynuuje jak Mistrz Puchalski wciąż swoje bezkrwawe łowy i powraca do nas co roku wiosną wraz z kluczem lecących żurawi...

W MIEJSCE BRAKUJĄCEGO TABLEAU - MATURA 1954



Małgorzata
Bochynek



Dorota
Hergesell



Antoni
Ingo



Ginter
Kolenda



Alfred
Matuszek



Helena
Mazur



Alfred
Pawelczyk



Alfred
Prusko



Aleksandra
Rogowska



Tadeusz
Rollauer



Joachim
Schmidt



Zofia
Stepka



Jan Thomeczek



Męska elita klasy przed maturą.
Stoją od lewej: J. Thomeczek,
G. Kolenda, J. Schmidt,
A. Prusko, A. Matuszek.
Poniżej od lewej: A. Ingo,
T. Rollauer, A. Pawelczyk.

Z ŻYCIA SZKOŁY - WYCIECZKI



Rok 1951 - Ojców – Wieliczka. Wycieczka uczniów klas I, II oraz maturalnej III (rocznik 1952).

Od dołu z napisem „Wieliczka 5 VI 1951” od lewej: T. Rollauer, J. Schmidt i J. Lipka. Siedzą m. in. druga od lewej: wychowawczynie naszej klasy prof. J. Augustynowicz, Marian Sojka i prof. Albina Mreńczanka

W rzędzie stoją piękności szkoły, wśród nich prym wiodą, oczywiście, dziewczęta z naszej klasy druga od lewej: A. Rogowska, M. Matuszek, Z. Stępa, B. Maciejewska, M. Bochynek, D. Hergesell, H. Mazur. W to grono się „wplątali” - W. Szczepaniak i A. Matuszek (ostatni po prawej). Wśród pozostałych m. in. wymienieni w artykule to J. Suchan (najwyższy, szósty od lewej w ostatnim górnym rzędzie) oraz J. Koptoń (w drugim górnym rzędzie po prawej w białej koszuli pod tablicą).



Rok 1953 - Warszawa. Męska reprezentacja szkoły, uczniowie klas I, II oraz maturalnej III (rocznik 1953) z wychowawcami (od lewej) prof. T. Krężłem oraz I. Kozierowskim pod Kolumną Zygmunta.

Z ŻYCIA SZKOŁY - WYCIECZKI



Rok 1952 – W górach i Zakopanem.
Pamiątkowe fotki zgodnie z tradycją
z nieodłącznym niedźwiedziem i bez.



Rok 1954 – Nad morzem i w Trójmieście
(Gdańsk, Oliwa, Sopot, Gdynia).

Tu, niestety, zdekompletowany skład zaangażowanych w wystawienie „Moralności pani Dulskiej” Gabrieli Zapolskiej. Siedzą po obu stronach ławki z lewej I. Gunderman (Dulska), a po prawej - M. Bochynek (służąca Hanka). Stoją od lewej: J. Thomeczek (synalek Dulskiej Zbyszko) i pozostali to członkowie ekipy technicznej: G. Kolenda, T. Rollauer, A. Prusko, A. Pawelczyk, A. Ingo i ich szef A. Matuszek.



Z ŻYCIA KLASY - PRZED MATURĄ



Rok 1954. Nasze dziewczęta, wzorowe uczennice w ostatniej klasie. Stoi Małgosia Bochynek, (przyszła nauczycielka matematyki i żona uniwersyteckiego profesora, oczywiście, matematyka). Siedzą w ławkach Ola Rogowska (po studiach lekarz internista) i Hela Mazur (niebawem inżynier tkactwa). Osobno tryskająca entuzjazmem Zosia Stepówna (lekarz stomatolog). Nie trafiła do kadru miłośniczka muzyki sakralnej Dorotka Hergesell.



Nasi chłopcy z kolei harczą poza i pod szkołą. W zimowym nastroju od lewej Ginter Kolenda (przyszły ksiądz), Antoś Ingo (niebawem żołnierz zawodowy), Alfred Pawelczyk (nauczyciel, filozof, malarz samouk, zapalony przyrodnik), Jasiu Thomeczek (nie mogący sobie znaleźć miejsca w życiu, aktor i prawnik), Alfred Matuszek (z zamiłowania budowlaniec, gogolinianin z krwi i kości) i Tadek Rollauer (polonista, nauczyciel, redaktor „Szkiców Legnickich”, dziennikarz).

Prezentowane zdjęcia, o mizernej jakości, to pierwociny rozpoczynającego zajęcia kółka fotograficznego. Autor wspomnień pozuje też do pamiątkowego zdjęcia na tle szkoły

Z DOKUMENTACJI SPOTKAŃ

Spotkanie 26 (5-6.10.2008) – udział wzięło 17 osób, w tym 3 z Niemiec). Trasa: Gogolin – okolice Raciborza (Samborowice, Krzanowice, Hrádec Morávi, Piotrowice Wielkie, Krowiarki, Racibórz).



Krzanowice. Przed hotelem „Perla” (zdjęcie górne, od lewej): klęczą – Tadeusz Rollauer, Józef Lipka, Jerzy Koptoń; stoją – Antoni Koźba, Hanna Lipka (z d. Klose), Joanna Kusch, Sylwia Solus (z d. Skibińska), Małgorzata Narkiewicz (z d. Bochynek), Anna Matuszek (z d. Marek), Alfred Matuszek, Dorota Hergesell, Hildegarda Koźba (z d. Matyja), Dora Nowicka (z d. Gabor), Joachim Schmidt, Karl Heinz Suchan. Na zdjęciu zabrakło obecnych na spotkaniu państwa Aleksandry (z d. Rogowskiej) i Witolda Jasińskich.



Tryskający pogodą ducha i humorem Jerzy Koptoń z koleżankami z klasy Joanną Kusch i Hildą Koźbą (z d. Matyja) – maturzyści rocznika 1953.

Krowiarki. Przy grobie zmarłego w r. 1996 kolegi ks. dziekana Leonarda Gaidy, który życzył sobie, by być pochowanym skromnie wśród swoich parafian (na zdjęciu w pierwszym rzędzie od lewej): J. Kusch, T. Rollauer, A. Matuszek, K. H. Suchan, S. Skibińska, D. Gabor. W rzędzie drugim: J. Schmidt, A. Matuszek, H. i A. Koźbowie. Fot. J. Koptoń.



Samborowice. Cała „czelodka” przed kościołem pw. Świętej Rodziny. W pierwszym rzędzie czwarta od lewej Dorota Hergesell gospodarz i organizatorka bardzo dobrze „dopiętego” i bogatego, pełnego wrażeń 23 spotkania.

Gogolin. Nasi przedstawiciele Hanna Lipka i państwo Hilda i Antoni Koźbowie wraz z goszczącym ich w progach swego domu prof. dr hab. Franciszkiem Markiem, w miejscu, w którym z inicjatywy nieodżałowanej gospodyni i wychowawczyni Marii Orkisz-Markowej wszystko 13 czerwca 1973 się zaczęło.



Racibórz – Muzeum (dawny kościół Dominikanek pw. Świętego Ducha). Na zdjęciu od lewej: W. Jasiński, A. Koźba, H. Koźba, S. Skibińska, A. Jasińska, A. Matuszek, M. Narkiewicz, J. Kusch, D. Gabor, J. Schmidt; klęczy J. Lipka.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

22314 ŚM



001-022314-00-0



ISBN 978-83-949158-2-7



9 788394 915827